

# Wojciech Żukrowski

---

## Pogromcy wałkoni

---

Przegląd Pruszkowski nr spec., 32-34

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# WOJCIECH ŻUKROWSKI

## Matura 1936

### POGROMCY WAŁKONI

Ileż to razy, wstając z poczuciem czekającej mnie grozy, bo właśnie zapowiedziano klasówkę z matematyki, wlokąc się do szkoły marzyłem, że może coś się w nocy przydarzyć: ziemia się otworzyła i pochłonęła całą budę, albo mały pożar spopielił wszystkie dzienniki klasowe w pokoju nauczycielskim... Ale gdzieby takie prośby zostały wysłuchane! Gmach stał nietknięty, a profesor, rozdając tematy na specjalnie przygotowanych kartkach, żeby każdy się we własnym zakresie męczył i nie mógł zrzynać od kolegi, spoglądał na mnie z takim obrzydzeniem, zgadując strach i niewiedzę ostateczną, aż mnie dreszcz przenikał...

Ileż ja dwój nazbierałem, a przecież nie byłem leniem, ani tępakiem! Tylko uczyłem się tego, co mnie naprawdę interesowało: przyroda, chemia – głównie z zakresu podsmradzania i pirotechniki, a botanika kazała mi wymykać się wiosną na węgry, sprawdzać czy zioła prawidłowo rosną. Ojciec zwykł przemawiać do mnie z obu stron, do głowy gromkim słowem i do drugiej strony wcale krzepką ręką.

Nienawidziłem belfrów, zmieniałem szkoły. Dwie dziś się do mnie przyznają, zwłaszcza ta, w której dość długo dojrzywałem, by dobić wreszcie do matury. Uciekłem od Batorego, gdzie uczył mnie profesor Radwański, cudowny Wutke, poeta – futurolog Młodożeniec, żeby wpaść z deszczu pod rynnę, bo u Zana w Pruszkowie matematykę wyśrubowano wysoko i jak na zgubę wykładał ją sam Dyrektor. Otóż ten znakomity pedagog miał miły zwyczaj, że dopadłszy kogoś z opryszków, jakich przyszło

mu ociosywać, a łby im nasączał olejem wiedzy, dobywał z kieszeni maszynkę do strzyżenia i jak skalp wystrzygał drózkę od czoła po ciemie. Resztę dokończyć miał fryzjer. A buda ta była koedukacyjna, stąd też świeciłem głowiną aresztanta. Takich jak ja bywało na szczęście więcej.

Boże, co za szatańskie pomysły w tych osmyczonych pałach się leżyły. Świeżą wiedzę użytkowaliśmy na instalowanie podsłuchów, żeby wiedzieć co nam naprawdę grozi, gdy nad nami radzić pocznie czcigodne ciało pedagogiczne, jaki wyrok zapadnie. Diabelstwo w nas siedziało. Z gruszek do lewatywy robiłem sikawki – dyngusówki. Koledze, który mnie kolnął w tyłek cyrkle, dmuchnąłem w oczy naskrobanym grafitem z chemicznego ołówka i przez trzy dni płakał fioletowymi łzami! Zimą rzucaliśmy grudami śniegu w sufit nad katedrą i oczywiście kapąło profesorowi na kark, a my wmawialiśmy, że to rura kanalizacyjna nawaliła. Hurmą rzucaliśmy się, by usłużnie przesunąć katedrę, woziliśmy profesora po klasie i tak lekcja mijała. Paliliśmy „śmierdziela” w szafie, dym kłębami walił przez wszystkie szpary, budząc udany przestрах. Szczypane koleżanki piszczały... Ruch był w interesie, wielkie otwieranie okien, wietrzenie!

Nie wiecie, co to „śmierdziel”? Zapytajcie własnych dzieci, one wam wyjaśnią, bo tradycje od pokoleń się dziedziczy i pielęgnuje, od przekazywania są repetenci, stąd ich przewaga, rządzą młodszymi. Nie żądajcie, żebym dawał przepisy jak się majstruje z klisz filmowych petardę dymną!

Różne się z budy wspomnienia wynosi, ale jest to czas wielkiej przyjaźni, a bywa, że i pierwszej miłości. Choć nauka wydaje się katorgą, po dostaniu matury, patentu na cielęcą dojrzałość, jednak zostaje dziwny sentyment do szkoły, wspólnota klasowa. Nawet ci straszni pogromcy, którzy wchodzili do klatki z dzikimi bestiami zwanymi klasą, jakoś stają się miłsi, dobrze się ich wspomina. Ja przynajmniej wiele zawdzięczam znakomitej polonistce, pani Stanisławie Ostrowskiej, która mnie zawsze przed dyrektorem

bronila, a był jej mężem i uparł się, że ze mnie zrobi matematyka. Najgorsze są te ambicje, oczywiście u pedagogów!

Na szczęście miałem koleżankę, która mi posyłała ściągaczki, na maturze też mi zadanie rozwiązała. Dobra matematyczka, późniejsza słuchaczka samego profesora Sierpińskiego. Byłem jej tak wdzięczny za tę pomoc i podpowiadanie, że się z nią musiałem ożenić. Tatuś kazał, choć się dziesięć lat opierałem, bo wolałem być dożywotnim narzeczonym.